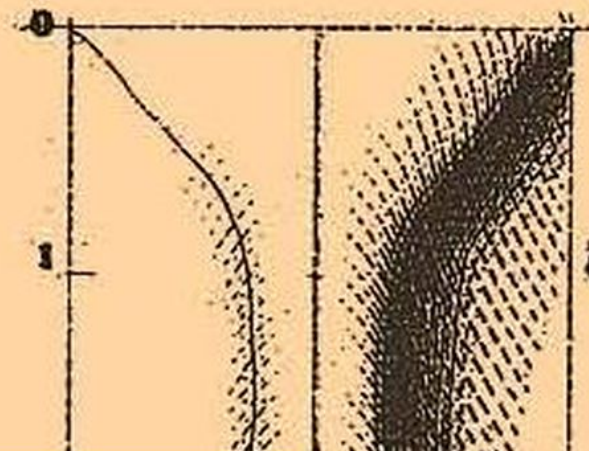
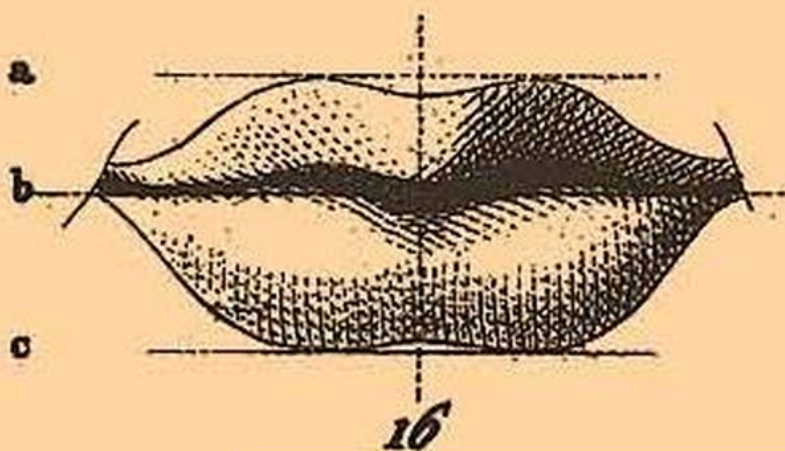
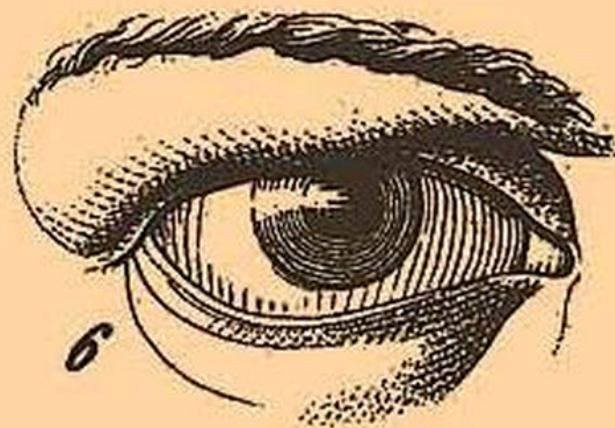
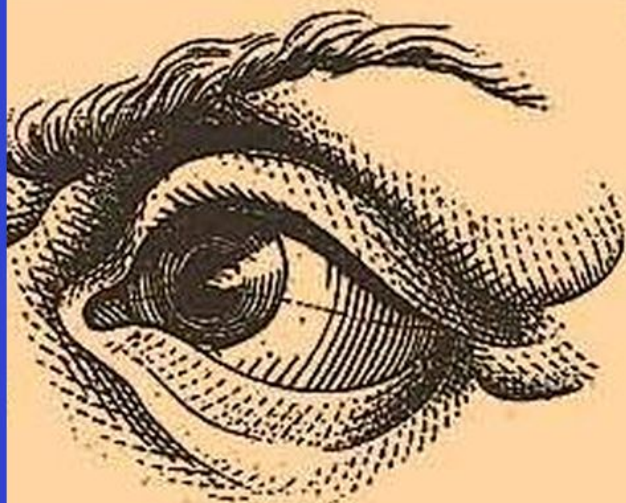




63



BRUNO SCHULZ

# Sanatorium Pod Klepsydram

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

BRUNO SCHULZ

SANATORIUM POD KLEPSYDRĄ

# *Sanatorium Pod Klepsydrą*

# Spis treści

I. . . . .	4
II . . . . .	6
III . . . . .	9
IV . . . . .	11
V . . . . .	13

Podróż trwała długo. Na tej bocznej, zapomnianej linii, na której tylko raz na tydzień kursują pociągi — jechało zaledwie paru pasażerów. Nigdy nie widziałem tych wagonów archaicznego typu, dawno wycofanych na innych liniach, obszernych jak pokoje, ciemnych i pełnych zakamarków. Te korytarze załamujące się pod różnymi kątami, te przedziały puste, labiryntowe i zimne miały w sobie coś dziwnie opuszczonego, coś niemal przerażającego. Przenosiłem się z wagonu do wagonu w poszukiwaniu jakiegoś przytulnego kąta. Wszędzie wiało, zimne przeciągi torowały sobie drogę przez te wnętrza, przewiercały na wskroś cały pociąg. Tu i ówdzie siedzieli ludzie z węzłkami na podłodze, nie śmiejąc zająć pustych kanap nadmiernie wysokich. Zresztą te ceratowe, wypukłe siedzenia zimne były jak lód i lepkie od starości. Na pustych stacjach nie wsiadał ani jeden pasażer. Bez gwizdu, bez sapania pociąg ruszał powoli i jakby w zamyśleniu w dalszą drogę.

Przez jakiś czas towarzyszył mi człowiek w podartym mundurze kolejowca, milczący, pogrążony w myślach. Przyciskał chustkę do spuchniętej, obolałej twarzy. Potem i ten gdzieś przepadł, wysiadł niepostrzeżenie na którymś przystanku. Zostało po nim wyciśnięte miejsce w słomie, zalegającej podłogę, i czarna, zniszczona walizka, którą zapomniał.

Brodząc w słomie i odpadkach, szedłem chwiejnym krokiem od wagonu do wagonu. Drzwi przedziałów chwiały się w przeciagu, na przestrzał otwarte. Nigdzie ani jednego pasażera. Wreszcie spotkałem konduktora w czarnym mundurze służby kolejowej tej linii. Owijał szyję grubą chustką, pakował swoje manatki, latarkę, książkę urzędową. — Dojeżdżamy, panie — rzekł spojrzawszy na mnie całkiem białymi oczyma. Pociąg powoli stawał, bez sapania, bez stukotu, jak gdyby życie powoli zeń uchodziło wraz z ostatnim tchnieniem pary. Stanęliśmy. Cisza i pustka, żadnego budynku stacyjnego. Pokazał mi jeszcze, wysiadając, kierunek, w którym leżało Sanatorium. Z walizą w ręku poszedłem białym wąskim gościńcem, uchodzącym niebawem w ciemny gąszcz parku. Z pewną ciekawością przyglądałem się pejzażowi. Droga, którą szedłem, wznosiła się i wyprowadzała na grzbiet łagodnej wyniosłości, z której obejmowało się wielki widnokrąg. Dzień był całkiem szary, przygaszony, bez akcentów. I może pod wpływem tej aury, ciężkiej i bezbarwnej, ciemniała cała ta wielka misa horyzontu, na której aranżował się rozległy, lesisty krajobraz ułożony kulisowo<sup>1</sup> z pasm i warstw zalesienia, coraz dalszych i bardziej szarych, spływających smugami, łagodnymi spadami, to z lewej, to z prawej strony. Cały ten ciemny krajobraz, pełen powagi, zdawał się ledwie dostrzegalnie płynąć sam w sobie, przesuwając się mimo<sup>2</sup> siebie jak chmurne i spiętrzone niebo pełne utajonego ruchu. Płynne pasy i szlaki lasów zdawały się szumieć i rosnać na tym szumie jak przypływ morza wzbierający niedostrzegalnie ku lądowi. Wśród ciemnej dynamiki lesistego terenu wyniesiona biała droga wiała się jak melodia grzbietem szerokich akordów, naciskana naporem potężnych mas muzycznych, które ją w końcu pochłaniały. Uszczknąłem gałązkę z przydrożnego drzewa. Zielen liści była całkiem ciemna, niemal czarna. Była to czerń dziwnie nasycona, głęboka i dobroczynna jak sen pełen mocy i posilności. I wszystkie szarości krajobrazu były pochodnymi tej jednej barwy. Taki kolor przybiera krajobraz niekiedy u nas w chmurny zmierzch letni, nasycony długimi deszczami. Ta sama głęboka i spokojna abnegacja<sup>3</sup>, to samo zdrętwienie zrezygnowane i ostateczne, nie potrzebujące już pociechy barw.

W lesie było ciemno jak w nocy. Szedłem omackiem po cichym igliwiu. Gdy drzewa się przerzedziły, zadudniły mi pod nogami belki mostu. Na drugim jego końcu, wśród czerni drzew majaczyły szare wielookienne ściany hotelu, reklamującego się jako Sanatorium. Podwójne szklane drzwi u wejścia były otwarte. Wchodziło się w nie wprost z mostku ujętego z obu stron w chwiejne balustrady z gałęzi brzoźowych. W korytarzu panował półmrok i solenna cisza. Zacząłem na palcach posuwać się od drzwi do drzwi, czytając w ciemności umieszczone nad nimi numery. Na zakręcie natknąłem wreszcie na pokojówkę. Wybiegła z pokoju, jakby się wyrwała z czyichś rąk natrętnych, zdyszana

<sup>1</sup>kulisowo — o kompozycji malarskiej: w taki sposób, że bliższe plany zasłaniają dalsze. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>mimo (daw.) — obok. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>abnegacja — brak troski o swój wygląd lub swoje korzyści. [przypis edytorski]



i wzburzona. Ledwo rozumiała, co do niej mówiłem. Musiałem powtórzyć. Kręciła się bezradnie.

Czy moją depeszę otrzymali? Rozłożyła ręce, jej wzrok powędrował w bok. Czekala tylko na sposobność, by móc skoczyć ku drzwiom wpółotwartym, ku którym zezowała.

— Przyjechałem z daleka, zamówiłem telegraficznie pokój w tym domu — rzekłem z pewnym zniecierpliwieniem. — Do kogo mam się zwrócić?

Nie wiedziała. — Może pan wejdzie do restauracji — płątała się. — Teraz wszyscy śpią. Gdy pan Doktor wstanie, zamelduję pana.

— Śpią? Przecież jest dzień, daleko jeszcze do nocy...

— U nas ciągle śpią. Pan nie wie? — podniosła na mnie zaciekawione oczy. — Zresztą tu nigdy nie jest noc — dodała z kokieterią. Już nie chciała uciekać, skubała w rękach koronkę fartuszka, kręcąc się.

Zostawiłem ją. Wszedłem do ciemnej na wpół restauracji. Stały tu stoliki, wielki bufet zajmował szerokość całej ściany. Po długim czasie uczułem znowu pewien apetyt. Cieszył mnie widok ciast i tortów, którymi obficie były zastawione płyty bufetu.

Położyłem walizkę na jednym ze stolików. Wszystkie były puste. Klasnąłem w ręce. Żadnej odpowiedzi. Zajrzałem do sąsiedniej sali, większej i jaśniejszej. Sala ta otwarta była szerokim oknem czy loggią<sup>4</sup> na znany mi już pejzaż, który w obramieniu framugi<sup>5</sup> stał ze swoim głębokim smutkiem i rezygnacją jak żałobne memento. Na obrusach stolików widać było resztki niedawnego posiłku, odkorkowane butelki, na wpół opróżnione kieliszki. Gdzieś leżały nawet jeszcze napiwki nie podjęte przez służbę. Wróciłem do bufetu, przyglądając się ciastom i pasztetom. Miały wygląd nader smakowity. Zastanawiałem się, czy wypada samemu się obsłużyć. Uczułem napływ niezwykłego łakomstwa. Zwłaszcza pewien gatunek kruchego ciasta z marmoladą jabłeczną napędzał mi do ust oskomę<sup>6</sup>. Już chciałem podważyć jedno z tych ciast srebrną łopatką, gdy uczułem za sobą czyjąś obecność. Pokojówka weszła na cichych pantoflach i dotykała mi pleców palcami. — Pan Doktor prosi pana — rzekła oglądając swoje paznokcie.

Szła przede mną — i pewna magnetyzmu, jaki wywierało granie jej bioder, nie odwracała się wcale. Bawiła się nasilaniem tego magnetyzmu, regulując odległość naszych ciał, podczas gdy mijaliśmy dziesiątki drzwi opatrzonych numerami. Korytarz ściemniał się coraz bardziej. W zupełnej już ciemności oparła się przelotnie o mnie. — Tu są drzwi Doktora — szepnęła — proszę wejść.

Doktor Gotard przyjął mnie stojąc na środku pokoju. Był to mężczyzna małego wzrostu, szeroki w barkach, z czarnym zarostem.

— Dostaliśmy pańską depeszę jeszcze wczoraj — rzekł. — Wysłaliśmy kocz<sup>7</sup> zakładowy na stację, ale przyjechał pan innym pociągiem. Niestety, połączenie kolejowe jest nie najlepsze. Jakże się pan czuje?

— Czy ojciec żyje? — zapytałem zatapiając wzrok niespokojny w jego uśmiechniętej twarzy.

— Żyje, naturalnie — rzekł wytrzymując spokojnie moje żarliwe spojrzenie. — Oczywiście w granicach uwarunkowanych sytuacją — dodał przymrużając oczy. — Wie pan równie dobrze jak ja, że z punktu widzenia pańskiego domu, z perspektywy pańskiej ojczyzny — ojciec umarł. To się nie da całkiem odrobić. Ta śmierć rzuca pewien cień na jego tutejszą egzystencję.

— Ale ojciec sam nie wie, nie domyśla się? — zapytałem szeptem. Potrzęsął głową z głębokim przekonaniem. — Niech pan będzie spokojny — rzekł przyciszonym głosem — nasi pacjenci nie domyślają się, nie mogą się domyślić...

— Cały trick polega na tym — dodał, gotów mechanizm jego demonstrować na palcach, już ku temu przygotowanych — że cofnęliśmy czas. Spóźniamy się tu z czasem o pewien interwał<sup>8</sup>, którego wielkości niepodobna określić. Rzecz sprowadza się do

Lekarz

Śmierć, Czas

<sup>4</sup>loggia — rodzaj krytego balkonu bądź pomieszczenia, w którym jedna z zewnętrznych ścian została zastąpiona przez rząd arkad. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>framuga — obramowanie, do którego przymocowane jest okno bądź skrzydło drzwi. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>oskoma (daw.) — ochota, apetyt. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>kocz — rodzaj czterokołowego powozu konnego, często na resorach. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>interwał — odstęp, odległość. [przypis edytorski]

prostego relatywizmu. Tu po prostu jeszcze śmierć ojca nie doszła do skutku, ta śmierć, która go w pańskiej ojczyźnie już osiągnęła.

— W takim razie — rzekłem — ojciec jest umierający lub bliski śmierci...

— Nie rozumie mnie pan — odrzekł tonem pobłażliwego zniecierpliwienia. — Reaktywujemy tu przeszły czas z jego wszystkimi możliwościami, a zatem i z możliwością wyzdrowienia.

Patrzył na mnie z uśmiechem, trzymając się za brodę.

— Ale teraz zechce pan pewnie zobaczyć się z ojcem. Stosownie do pańskiego zlecenia zarezerwowaliśmy dla pana drugie łóżko w pokoju ojca. Zaprowadzę pana.

Gdyśmy wyszli na ciemny korytarz, Doktor Gotard już mówił szeptem. Zauważyłem, że ma na nogach filcowe pantofle, jak pokojówka.

— Dajemy naszym pacjentom długo się wysypiać, oszczędzamy ich energię życiową. Zresztą i tak nie mają tu nic lepszego do roboty.

Pod którymiś tam drzwiami zatrzymał się. Przyłożył palec do ust.

— Niech pan wejdzie cicho — ojciec śpi. Niech się pan także położy. To najlepsze, co pan może w tej chwili uczynić. Do widzenia.

— Do widzenia — szepnąłem czując bicie serca podchodzące mi do gardła. Naciśnąłem klamkę, drzwi poddały się same, uchyliły jak usta otwierające się bezbronnie we śnie. Wszedłem do środka. Pokój był prawie pusty, szary i nagi. Na zwykłym drewnianym łóżku pod małym okienkiem leżał mój ojciec w obfitej pościeli i spał. Głęboki jego oddech wyładowywał całe pokłady chrapania z głębi snu. Cały pokój zdawał się być już wyłożony tym chrapaniem, od podłogi do sufitu, a wciąż jeszcze przybywały nowe pozycje. Pełen wzruszenia patrzyłem na wychudzoną, zmizerowaną twarz ojca, pochłoniętą teraz całkiem przez tę pracę chrapania, twarz, która w dalekim transie — porzuciwszy swą ziemską powłokę — spowiadała się gdzieś na odległym brzegu ze swej egzystencji uroczystym wyliczaniem swych minut.

Drugie łóżka nie było. Od okna ciągnęło przenikliwe zimno. Piec był nie opalony.

Nie zdają się tu zbyt troszczyć o pacjentów — myślałem sobie. — Tak chory człowiek wydany na pastwę przeciągów! I nikt chyba tu nie sprząta. Gruba warstwa kurzu zalegała podłogę, pokrywała szafkę nocną z lekarstwami i ze szklanką wystygłej kawy. Na bufecie leżą stosy ciastek, a pacjentom dają czystą czarną kawę zamiast czegoś posilnego! Ale wobec dobrodziejstw cofniętego czasu jest to naturalnie drobnostką.

Rozebrałem się powoli i wsunąłem się do łóżka ojca. Nie obudził się. Chrapanie jego tylko, widocznie za wysoko już spiętrzone, zeszło o oktawę niżej, rezygnując z górnotności swej deklamacji. Stało się niejako prywatnym chrapaniem, na własny użytek. Obcisnąłem dookoła ojca pierzyne, chroniąc go, o ile możliwości, od wiejącego z okna przeciągu. Wkrótce zasnąłem obok niego.

## II

Gdy się obudziłem, był zmrok w pokoju. Ojciec siedział już ubrany przy stole i pił herbatę, maczając w niej sucharki z lukrem. Miał na sobie nowe jeszcze, czarne ubranie z angielskiego sukna, które sprawił sobie ostatniego lata. Krawat jego był trochę niedbale związany.

Widząc, że nie śpię, rzekł z miłym uśmiechem w swojej przybladłej od choroby twarzy: — Ucieszyłem się serdecznie, żeś przyjechał, Józefie. Co za niespodzianka! Czuję się tu tak samotny. Nie można się co prawda w mojej sytuacji uskarżać, przeszedłem już gorsze rzeczy i gdybyście wyciągnąć *facit*<sup>9</sup> ze wszystkich pozycji... Ale mniejsza o to. Wyobraź sobie, podano mi tu zaraz pierwszego dnia wspaniałą *filet de boeuf*<sup>10</sup> z grzybkami. Była to piekielna sztuka mięsa, Józefie. Ostrzegam cię najusilniej — gdyby ci tu kiedykolwiek miano podać *filet de boeuf*... Jeszcze czuję ogień w brzuchu. I *diarea*<sup>11</sup> za *diareą*... Nie mogłem sobie całkiem dać rady. Ale muszę ci oznajmić nowinę — ciągnął dalej. — Nie śmieję się, wynająłem tu lokal na sklep. Tak jest. I gratuluję sobie tego pomysłu. Nudziłem się, wiesz, serdecznie. Nie masz wyobrażenia, co za nudy tu panują.

<sup>9</sup>*facit* (łac.) — dosł: czyni. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*filet de boeuf* (fr.) — filet wołowy. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*diarea* (z łac.) — biegunka. [przypis edytorski]

A tak mam przynajmniej przyjemne zajęcie. Nie wyobrażaj sobie znów żadnych wspa-  
niałości. Skądże znowu. Daleko skromniejszy lokal niż nasz dawny magazyn. Po prostu  
buda w porównaniu z tamtym. U nas w mieście wstydziłbym się takiego straganu, ale  
tutaj, gdzieśmy tyle musieli popuścić z naszych pretensyj — nieprawdaż, Józefie?... —  
Zaśmiał się boleśnie. — I tak jakoś się żyje. — Zrobiło mi się przykro. Wstydziłem się  
zmieszania ojca, który spostrzegł, że użył niewłaściwego wyrazu.

— Widzę, żeś śpiący — rzekł po chwili. — Prześpij się jeszcze trochę, a potem od-  
wiedzisz mnie w sklepie — nieprawdaż? Właśnie tam śpieszę, żeby zobaczyć, jak interesy  
idą. Nie masz pojęcia, jak trudno było o kredyt, z jakim niedowierzaniem odnoszą się  
tu do starych kupców, do kupców z poważną przeszłością... Przypominasz sobie lokal  
optyka na rynku? Otóż zaraz obok jest nasz sklep. Szyldu jeszcze nie ma, ale i tak trafisz.  
Trudno się omylić.

— Czy ojciec wychodzi bez palta? — zapytałem z niepokojem.

— Zapomniano mi je zapakować — wyobraź sobie — nie znalazłem go w kufrze, ale  
zupełnie mi go nie brak. Ten łagodny klimat, ta słodka aura!...

— Niech ojciec weźmie moje palto — nalegałem — proszę koniecznie wziąć. — Ale  
ojciec już wkładał kapelusz. Kiwnął mi ręką i wysunął się z pokoju.

Nie, nie byłem już śpiący. Czułem się wypoczęty... i głodny. Z przyjemnością przy-  
pomniałem sobie bufet zastawiony ciastkami. Ubierałem się myśląc, jak sobie dogodzę na  
rozmaitych rodzajach tych przysmaków. Pierwszeństwo zamierzałem dać kruchemu cia-  
stu z jabłkami, nie zapominając o świetnym biszkopcie nadziewanym łupką pomarańczo-  
wą, który tam widziałem. Stałem przed lustrem, aby zawiązać krawat, ale powierzch-  
nia jego, jak zwierciadło sferyczne, zataiła gdzieś w głębi mój obraz, wirując mętną tonią.  
Nadaremnie regulowałem oddalenie, podchodząc, cofając się — ze srebrnej płynnej mgły  
nie chciało wyłonić się żadne odbicie. Muszę kazać dać inne lustro — pomyślałem sobie  
i wyszedłem z pokoju.

Na korytarzu było całkiem ciemno. Wrażenie solennej<sup>12</sup> ciszy potęgowała jeszcze nikła  
lampa gazowa, płonąca niebieskawym płomykiem na zakręcie. W tym labiryncie drzwi,  
framug i zakamarków trudno mi było przypomnieć sobie wejście do restauracji. Wyjdę  
na miasto — pomyślałem z nagłym postanowieniem. — Zjem gdzieś na mieście. Znajdę  
tam chyba jakąś dobrą cukiernię.

Owiało mnie za bramą ciężkie, wilgotne i słodkie powietrze tego szczególnego kli-  
matu. Chroniczna szarość aury zesza jeszcze o kilka odcieni głębiej. Był to jakby dzień  
widziany przez kir<sup>13</sup> żalobny.

Nie mogłem nasycić oczu aksamitną, soczystą czarnością najciemniejszych partyj, ga-  
mą zgaszonych szarości pluszowych popiołów, przebiegającą pasażami stłumionych ton-  
nów, złamanych dławikiem klawiszy — ten nokturn<sup>14</sup> pejzażu. Obfite i fałdziste powietrze  
obłopotalo mi twarz miękką płachtą. Miało w sobie mdłą słodycz odstałej deszczówki.

Znowu ten powracający sam w sobie szum czarnych lasów, głuche akordy, wzburza-  
jące przestworza już poza skalą słyszalności! Byłem na tylnym dziedzińcu Sanatorium.  
Obejrzałem się na wysokie mury tej oficyny<sup>15</sup> głównego budynku załamanego w pod-  
kowę. Wszystkie okna zamknięte były na czarne okiennice. Sanatorium spało głęboko.  
Minąłem bramę w żelaznych sztachetach. Obok niej stała buda psa — niezwyklej roz-  
miarów — opuszczona. Znów wchłonął mnie i przytulił czarny las, w którego ciem-  
nościach szedłem omackiem, jakby z zamkniętymi oczyma, na cichym igliwiu. Gdy się  
trochę rozwidniło, zarysowały się między drzewami kontury domów. Jeszcze kilka kro-  
ków i byłem na obszernym placu miejskim.

Dziwne, myślące podobieństwo do rynku naszego miasta rodzinnego! Jak podobne są  
w samej rzeczy wszystkie rynki na świecie! Niemal te same domy i sklepy!

Chodniki były prawie puste. Żalobny i późny półbrzask nieokreślonej pory prószył  
z nieba o niezdefiniowanej szarości. Czytałem z łatwością wszystkie afisze i szyldy, a jed-  
nak nie byłbym zdziwiony, gdyby mi powiedziano, że to noc głęboka! Tylko niektóre

<sup>12</sup>*solenny* — poważny, uroczysty. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*kir* — czarny materiał, symbolizujący żalobę. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*nokturn* — utwór muzyczny, poetycki bądź malarski oparty na motywach nocy. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*oficyna* — boczne skrzydło budynku, zwykle przeznaczone na pomieszczenia gospodarcze. [przypis edytorski]

sklepy były otwarte. Inne miały na wpół zasunięte żaluzje, zamykano je pośpiesznie. Tęgie i bujne powietrze, powietrze upojne i bogate, pochłaniało miejscami część widoku, zmywało jak mokra gąbka parę domów, latarnię, kawałek szyldu. Chwilami trudno było unieść powieki, zapadające przez dziwne niedbalstwo czy senność. Zacząłem szukać sklepu optyka, o którym wspomniał ojciec. Mówił o tym, jak o czymś mi znanym, odwoływał się jakby do mojej znajomości lokalnych stosunków. Czy nie wiedział, że byłem tu pierwszy raz? Bez wątpienia plątało mu się w głowie. Ale czegoż można było oczekiwać od ojca na wpół tylko rzeczywistego, żyjącego życiem tak warunkowym, relatywnym, ograniczonym tylu zastrzeżeniami! Trudno zataić, że trzeba było dużo dobrej woli, ażeby przyznać mu pewien rodzaj egzystencji. Był to godny politowania surogat<sup>16</sup> życia, zawisty<sup>17</sup> od powszechnej pobłażliwości, od tego „*consensus omnium*”<sup>18</sup>, z którego czerpał swe nikłe soki. Jasnym było, że tylko dzięki solidarnemu patrzeniu przez palce, zbiorowemu przymykaniu oczu na oczywiste i rażące niedomogi tego stanu rzeczy mógł się utrzymać przez chwilę w tkance rzeczywistości ten żaloszny pozór życia. Najlżejsza opozycja mogła go zachwiać, najslabszy podmuch sceptycyzmu obalić. Czy Sanatorium Doktora Gotarda mogło mu zapewnić tę cieplarnianą atmosferę życzliwej tolerancji, ochronić od zimnych podmuchów trzeźwości i krytycyzmu? Należało się dziwić, że przy tym zagrożonym, zakwestionowanym stanie rzeczy ojciec potrafił jeszcze zachować tak znakomitą postawę.

Ucieszyłem się ujrzawszy okno wystawowe cukierni, zapełnione babkami i tortami. Mój apetyt odżył. Otworzyłem szklane drzwi z tablicą „lody” i wszedłem do ciemnego lokalu. Pachniało tam kawą i wanilią. Z głębi sklepu wyszła panienska, z twarzą zamazaną zmierzchem, i przyjęła zamówienie. Nareszcie po tak długim czasie mogłem raz posilić się do syta świetnymi pączkami, które maczałem w kawie. W ciemności, obtańczony wirującymi arabeskami zmierzchu, pochłaniałem wciąż nowe ciastka, czując, jak wirowanie ciemności wciska się pod powieki, opanowuje cichaczem me wnętrze swym ciepłym pulsowaniem, milionowym rojowiskiem delikatnych dotknięć. Wreszcie już tylko prostokąt okna świecił szarą plamą w zupełnej ciemności. Nadaremnie stukalem łyżeczką w płytę stołu. Nikt nie zjawił się, aby przyjąć należytość za posiłek. Zostawiłem monetę srebrną na stole i wyszedłem na ulicę. W księgarni obok świeciło się jeszcze. Subiekt<sup>19</sup> zajęci byli sortowaniem książek. Zapytałem o sklep ojca. — To właśnie drugi lokal obok nas — objaśnili mnie. Usłużny chłopak podbiegł nawet do drzwi, ażeby mi pokazać. Portal był szklany, okno wystawowe jeszcze niegotowe, zasłonięte szarym papierem. Już ode drzwi zauważyłem ze zdziwieniem, że sklep był pełny kupujących. Mój ojciec stał za ladą i sumował, śliniąc wciąż ołówek, pozycje długiego rachunku. Pan, dla którego wygotowywano ten rachunek, pochylony nad ladą, posuwał palcem wskazującym za każdą dodaną cyfrą, licząc półgłosem. Reszta gości przyglądała się w milczeniu. Mój ojciec rzucił na mnie spojrzenie znad okularów i rzekł przytrzymując pozycję, na której się zatrzymał: — Jest tu jakiś list do ciebie, leży na biurku między papierami — i znów pograżył się w liczeniu. Subiektci tymczasem odkładali kupione towary, zawijali je w papier, obwiązywali sznurkami. Regały były tylko częściowo wypełnione sukmem. Większa część była jeszcze pusta.

— Dlaczego ojciec nie siada sobie? — zapytałem cicho, wszedłszy za ladę. — Wcale ojciec nie uważa na siebie, będąc tak chorym. — Podniósł wzbraniająco dłoń, jak gdyby oddalał moje perswazje, i nie przestawał rachować. Miał wygląd bardzo mizerny. Leżało jak na dłoni, że tylko sztuczne podniecenie, gorączkowa czynność podtrzymuje jego siły, oddala jeszcze chwilę zupełnego załamania.

Poszukałem na biurku. Był to raczej pakiet niż list. Przed kilkoma dniami pisałem do księgarni w sprawie pewnej książki pornograficznej i oto posyłano mi ją tu, już znaleziono mój adres, a raczej adres ojca, który zaledwie otworzył sobie sklep, bez szyldu i firmy. W istocie zdumiewająca organizacja wywiadu, godna podziwu sprawność ekspedycji! I ten niezwykły pośpiech!

<sup>16</sup>*surogat* (daw.) — namiastka. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*zawisty* (daw.) — zależny. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*consensus omnium* (łac.) — zgoda wszystkich. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*subiekt* (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]



— Możesz sobie przeczytać z tyłu w kontuarze<sup>20</sup> — rzekł ojciec posyłając mi niezadowolone spojrzenie — widzisz sam, że tu nie ma miejsca.

Kontuar za sklepem był jeszcze pusty. Przez szklane drzwi wpadało tam nieco światła ze sklepu. Na ścianach wisiały pałta subiektów. Otworzyłem list i zacząłem czytać w słabym świetle ode drzwi.

Donoszono mi, że książki żądanej nie było niestety na składzie. Wszczęto poszukiwania za nią, ale nie uprzedzając wyniku pozwalała sobie firma przesłać mi tymczasem, nieobowiązująco, pewien artykuł, dla którego przewidywano moje niewątpliwe zainteresowanie. Następował teraz zawiły opis składanego refraktora<sup>21</sup> astronomicznego, o wielkiej sile świetlnej i rozlicznych zaletach. Zaciekawiony, wydobylem z koperty ten instrument zrobiony z czarnej ceraty lub sztywnego płótna złożonego w płaską harmonijkę. Miałem zawsze słabość do teleskopów. Zacząłem rozkładać wielokrotnie złożony płaszcz instrumentu. Usztywniony cienkimi pręcikami, rozbudowywał mi się pod rękami ogromny miech dalekowidza, wyciągający na długość całego pokoju swą pustą budę, labirynt czarnych komór, długi kompleks ciemni optycznych wsuniętych w siebie do połowy. Było to coś na kształt długiego auta z lakowego płótna, jakiś rekwizyt teatralny imitujący w lekkim materiale papieru i sztywnego drelichu masywność rzeczywistości. Spojrzałem w czarny lejek okularu i ujrzałem w głębi zaledwie mającące zarysy podwórzowej fasady Sanatorium. Zaciekawiony, wsunąłem się głębiej w tylną komorę aparatu. Śledziłem teraz w polu widzenia lunety pokojówkę idącą płóciennym korytarzem Sanatorium z tacą w rękę. Odwróciła się i uśmiechnęła. Czy ona mnie widzi? — pomyślałem sobie. Nieodparta senność przesłaniała mi mgłą oczy. Siedziałem właściwie w tylnej komorze lunety jakby w limuzynie wozu. Lekkie poruszenie dźwigni i oto aparat zaczął szeleścić łopotem papierowego motyla i uczułem, że porusza się wraz ze mną i skręca ku drzwiom.

Jak wielka czarna gąsienica wyjechała luneta do oświetlonego sklepu — wielocłonkowy kadłub, ogromny papierowy karakon z imitacją dwóch latarni na przedzie. Kupujący stłoczyli się, cofając przed tym ślepym smokiem papierowym, subiekci otworzyli drzwi na ulicę i wyjechałem powoli tym papierowym autem, wśród szpaleru gości odprowadzających zgorzonym spojrzeniem ten w istocie skandaliczny wyjazd.

### III

Tak żyje się w tym mieście i czas upływa. Większą część dnia przesypia się, i to nie tylko w łóżku. Nie, nie jest się zbyt wybrednym na tym punkcie. W każdym miejscu i o każdej porze dnia gotów jest człowiek uciąć sobie tutaj smaczną drzemkę. Z głową opartą o stolik w restauracji, w dorożce, a nawet na stojączkę<sup>22</sup> po drodze, w sieni jakiegoś domu, do którego wpada się na chwilę, ażeby ulec na moment nieodpartej potrzebie snu.

Budząc się, zamroczeni jeszcze i chwiejni, ciągniemy dalej przerwana rozmowę, kontynuujemy uciążliwą drogę, tocimy naprzód zawiłą sprawę bez początku i końca. Skutkiem tego gubią się kędyś po drodze mimochodem całe interwały czasu, tracimy kontrolę nad ciągłością dnia i w końcu przestajemy na nią nalegać, rezygnujemy bez żalu ze szkieletu nieprzerwanej chronologii, do której bacznego nadzorowania przywykliśmy ongiś z nałogu i z troskliwej dyscypliny codziennej. Dawno poświęciliśmy tę nieustanną gotowość do złożenia rachunku z przebitego czasu, tę skrupulatność w wyliczaniu się co do grosza ze zużytych godzin — dumę i ambicję naszej ekonomiki. Z tych kardynalnych<sup>23</sup> cnót, w których nie znaliśmy ongiś wahania ani uchybienia — kapitulowaliśmy dawno.

Parę przykładów niechaj posłuży za ilustrację tego stanu rzeczy. O jakiejś porze dnia czy nocy — ledwo widoczna niuansa<sup>24</sup> nieba odróżnia te pory — budzę się przy balustradzie mostku prowadzącego do Sanatorium. Jest zmierzch. Musiałem, zmorzony sennością, długo bezwiednie wędrować po mieście, nim dowlokłem się, śmiertelnie zmęczony, do tego mostku. Nie mogę powiedzieć, czy w drodze tej towarzyszył mi cały czas Dr Gotard, który stoi teraz przede mną, kończąc jakiś długi wywód wyprowadzaniem ostatecznych wniosków. Porwany własną wymową, bierze mnie nawet pod ramię i pociąga za

<sup>20</sup>kontuar — lada sklepowa; tu: pomieszczenie na zapleczu. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>refraktor — teleskop skupiający światło z pomocą jednej lub wielu soczewek. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>na stojączkę — dziś popr.: na stojąco. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>kardynalny — główny, zasadniczy. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>niuansa — dziś popr.: niuans. [przypis edytorski]

sobą. Idę z nim i nim jeszcze przekroczyliśmy dudniące deski mostku, już śpię na nowo. Przez zamknięte powieki widzę niejasno wnikliwą gestykulację Doktora, uśmiech w głębi jego czarnej brody i staram się na darmo pojąć ten kapitalny chwyt logiczny, ten ostateczny atut, którym na szczycie swej argumentacji, nieruchomiejąc z rozłożonymi rękami, triumfuje. Nie wiem, jak długo jeszcze idziemy tak obok siebie pogrążeni w rozmowie pełnej nieporozumień, gdy w pewnej chwili ocykam się zupełnie, Doktora Gotarda już nie ma, jest całkiem ciemno, ale to tylko dlatego, że trzymam oczy zamknięte. Otwieram je i jestem w łóżku, w moim pokoju, do którego nie wiem, jakim się dostałem sposobem.

Jeszcze drastyczniejszy przykład:

Wchodzę w obiadowej porze do restauracji na mieście, w bezładny gwar i zamęt jedzących. I kogoż spotykam tu na środku sali przed stołem uginającym się od potraw? Ojca. Wszystkie oczy skierowane są na niego, a on, błyszcząc brylantową szpilką, niezwykle ożywiony, rozanielony do ekstazy, przechyla się z afektacją<sup>25</sup> na wszystkie strony w wylewnej<sup>26</sup> rozmowie z całą salą od razu. Ze sztuczną brawurą, na którą patrzeć nie mogę bez najwyższego niepokoju, zamawia wciąż nowe potrawy, które piętrzą się stosami na stole. Z lubością gromadzi je dookoła siebie, chociaż nie uporał się jeszcze z pierwszym daniem. Mlaskając językiem, żując i mówiąc jednocześnie, markuje on gestami, mimiką najwyższe ukontentowanie<sup>27</sup> tą biesiadą, wodzi wielbiącym wzrokiem za panem Adasiem, kelnerem, któremu z rozkochanym uśmiechem rzuca wciąż nowe zlecenia. I gdy kelner, wiejąc serwetą, biegnie je spełnić, ojciec apeluje błagalnym gestem do wszystkich, bierze wszystkich na świadków nieodpartego czaru tego Ganimeda<sup>28</sup>.

— Nieoceniony chłopak — woła z błogim uśmiechem przymykając oczy — anielski chłopak! Przyznajcie, panowie, że jest czarujący!

Wycofuję się z sali pełen niesmaku, nie zauważony przez ojca. Gdyby był umyślnie dla reklamy nastawiony przez zarząd hotelu dla animowania<sup>29</sup> gości, nie mógłby bardziej prowokująco i ostentacyjnie się zachowywać. Z głową ćmiącą się od senności zataczam się ulicami, zdążając do domu. Na skrzynce pocztowej opieram chwilę głowę i robię sobie krótką sjęstę<sup>30</sup>. Wreszcie domacuję się w ciemności bramy Sanatorium i wchodzę. W pokoju jest ciemno. Przekręcam kontakt, ale elektryczność nie funkcjonuje. Od okna wieje zimnem. Łóżko skrzypi w ciemności. Ojciec podnosi znad pościeli głowę i mówi: — Ach, Józefie, Józefie! Leżę tu już od dwóch dni bez żadnej opieki, dzwonki są przerwane, nikt do mnie nie zagląda, a własny syn opuszcza mnie, ciężko chorego człowieka, i włóczy się za dziewczętami po mieście. Patrz, jak mi serce wali.

Jak to pogodzić? Czy ojciec siedzi w restauracji, ogarnięty niezdrową ambicją żarłoczości, czy leży w swoim pokoju, ciężko chory? Czy jest dwóch ojców? Nic podobnego. Wszystkiemu winien jest prędki rozpad czasu, nienadzorowanego nieustanną czujnością.

Wiemy wszyscy, że ten niezdiscyplinowany żywioł trzyma się jedynie od biedy w pewnych ryzach dzięki nieustannej uprawie, pieczołowitej troskliwości, starannej regulacji i korygowaniu jego wybryków. Pozbawiony tej opieki skłania się natychmiast do przekroczeń, do dzikiej aberracji, do płatania nieobliczalnych figlów, do bezkształtnego błaznowania. Coraz wyraźniej zarysowuje się inkongruencja<sup>31</sup> naszych indywidualnych czasów. Czas mego ojca i mój własny czas już do siebie nie przystawały.

Nawiasem mówiąc, zarzut rozwiązłości obyczajów, uczyniony mi przez ojca, jest bezpodstawną insynuacją. Nie zbliżyłem się jeszcze tu do żadnej dziewczyny. Zataczając się jak pijany od jednego snu do drugiego, ledwo zwracam uwagę w trzeźwiejszych chwilach na tutejszą pleć piękną.

Zresztą chroniczny zmrok na ulicach nie pozwala nawet dokładnie rozróżniać twarzy. Co jedynie zdołałem zauważyć, jako młody człowiek mający jeszcze na tym polu bądź co bądź pewne zainteresowania — to osobliwy chód tych panienek.

Ojciec, Czas

Kobieta, Piękno

<sup>25</sup>afektacja — przesada w zachowaniu, zwł. w wyrażaniu uczuć. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>wylewny — okazujący uczucia w wyrazisty sposób. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>ukontentowanie — zadowolenie. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>Ganimedes (mit. gr.) — piękny młodzieniec, ukochany przez Zeusa i wzięty przez niego na Olimp jako podczasy bogów. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>animować (daw.) — ożywiać (por. też współczesne określenie „animator”). [przypis edytorski]

<sup>30</sup>sjęsta — poobiednia drzemka. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>inkongruencja — niezgodność. [przypis edytorski]

Jest to chód w nieubłaganie prostej linii, nie liczący się z żadnymi przeszkodami, posłuszny tylko jakiemuś wewnętrznemu rytmowi, jakiemuś prawu, które odwijają one jak z kłębka w nić prostolinijnego truchciku pełnego akuratałości i odmierzonej gracji.

Każda nosi w sobie jakieś inne, indywidualne prawidło<sup>32</sup>, jak nakręconą sprężynkę.

Gdy tak idą prosto przed siebie, wpatrzone w to prawidło, pełne skupienia i powagi, wydaje się, że przejęte są jedną tylko troską, by nie uronić nic z niego, nie zmylić trudnej reguły, nie zboczyć od niej na milimetr. I wtedy jasnym się staje, że to, co z taką uwagą i przejęciem niosą nad sobą, nie jest niczym innym jak jakąś *idée fixe*<sup>33</sup> własnej doskonałości, która przez moc ich przekonania staje się niemal rzeczywistością. Jest to jakaś antycypacja<sup>34</sup> powzięta na własne ryzyko, bez żadnej poręki<sup>35</sup>, dogmat nietykalny, wyniesiony ponad wszelką wątpliwość.

Jakich mankamentów i usterek, jakich nosków perkatych lub spłaszczonych, jakich piegów i pryszczyci nie przemycają z brawurą pod flagą tej fikcji! Nie ma takiej brzydoty i pospolitości, której by wzlot tej wiary nie porywał ze sobą w to fikcyjne niebo doskonałości.

Pod sankcją tej wiary ciało pięknie wyrażnie, a nogi, kształtne istotnie i elastyczne nogi w nieskazitelnym obuwiu, mówią swym chodem, eksplikują<sup>36</sup> skwapliwie<sup>37</sup> płynnym, połyskliwym monologiem stąpania bogactwo tej idei, którą zamknięta twarz przez dumę przemilcza. Ręce trzymają w kieszeniach swych krótkich, obcisłych żakiecików. W kawiarni i w teatrze zakładają nogi wysoko odsłonięte do kolan i milczą nimi wymownie. Tyle mimochodem tylko o jednej z osobliwości miasta. Wspomniałem już o czarnej wegetacji<sup>38</sup> tutejszej. Na uwagę zasługuje zwłaszcza pewien gatunek czarnej paproci, której ogromne pęki zdobią flakony w każdym tutejszym mieszkaniu i w każdym lokalu publicznym. Jest to niemal żalobny symbol, funebryczny herb tego miasta.

#### IV

Stosunki w Sanatorium stają się z dniem każdym nieznośniejsze. Trudno zaprzeczyć, że wpadaliśmy po prostu w pułapkę. Od chwili mego przyjazdu, w której przed przybyłym rozsnuto pewne pozory gościnnej zabieglivosti — zarząd Sanatorium nie zadaje sobie najmniejszego trudu, żeby nam choćby zostawić złudzenie jakiejś opieki. Jesteśmy po prostu zdani na siebie samych. Nikt nie troszczy się o nasze potrzeby. Od dawna stwierdziłem, że przewody dzwonek elektrycznych urywają się zaraz nad drzwiami i nigdzie nie prowadzą. Służby nie widać. Korytarze pogrążone są dzień i noc w ciemności i ciszy. Mam silne przekonanie, że jesteśmy jedynymi gośćmi w tym Sanatorium i że tajemnicze i dyskretne miny, z jakimi pokojówka zaciska drzwi pokoiów, wchodząc lub wychodząc, są po prostu mistyfikacją.

Miałbym niekiedy ochotę otworzyć po kolei szeroko drzwi tych pokoiów i zostawić je tak na oścież otwarte, żeby zdemaskować tę niecną intrygę, w którą nas wplątano.

A jednak nie jestem całkiem pewny mych podejrzeń. Czasami późno w nocy widzę Dra Gotarda w korytarzu, jak śpieszy gdzieś w białym płaszczu operacyjnym, ze szprycą lewatywy w ręku, poprzedzany przez pokojówkę. Trudno go wtedy zatrzymać w pośpiechu i przyprzeć do muru zdecydowanym pytaniem.

Gdyby nie restauracja i cukiernia w mieście, można by umrzeć z głodu. Dotychczas nie mogłem się doprosić drugiego łóżka. O świeżej pościeli nie ma mowy. Trzeba przyznać, że powszechne rozprężenie obyczajów kulturalnych nie oszczędziło i nas samych.

Wejść do łóżka w ubraniu i w butach było dla mnie zawsze, jako dla człowieka cywilizowanego, rzeczą po prostu nie do pomyślenia. A teraz przychodzę późno do domu, pijany od senności, w pokoju półmrok, firanki u okna wzdęte od zimnego tchu. Bezprytomny walę się na łóżko i zagrzebuję w pierzyny. Śpię tak przez całe nieregularne przestrzenie czasu, dni czy tygodnie, podróżując przez puste krajobrazy snu, ciągle

<sup>32</sup>prawidło — zasada, reguła. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*idée fixe* (fr.) — powracająca, natrętna myśl. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>antycypacja — oczekiwanie, zapowiedź przyszłych wydarzeń. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>poręka — gwarancja. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>eksplikować (daw.) — wyjaśniać. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>skwapliwie (daw.) — chętnie. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>wegetacja — tu: roślinność. [przypis edytorski]

w drodze, ciągle na stromych gościńcach respiracji<sup>39</sup>, raz zjeżdżając lekko i elastycznie z łagodnych pochyłości, to znowu pnąc się z trudem na prostopadłą ścianę chrapania. Dosięgłszy szczytu, obejmuję ogromne widnokreśli tej skalistej i głuchej pustyni snu. O jakiejś porze, w niewiadomym punkcie, gdzieś na raptownym skręcie chrapania budzę się na wpół przytomny i czuję w nogach ciało ojca. Leży tam zwinięty w kłębek, mały jak kociak. Zасыpiam znowu z otwartymi ustami i cała ogromna panorama górzystego krajobrazu przesuwa się mimo mnie falisto i majestatycznie.

W sklepie rozwija ojciec pełną ożywienia czynność<sup>40</sup>, przeprowadza transakcje, wyteżę całą swoją swadę dla przekonania klientów. Policzki jego są zarumienione od ożywienia, oczy błyszczą. W Sanatorium leży ciężko chory, jak w ostatnich tygodniach w domu. Trudno zataić, że proces szybkim krokiem zbliża się do fatalnego końca. Słabym głosem mówi do mnie: — Powinieneś częściej zachodzić do sklepu, Józefie. Subiekci<sup>41</sup> nas okradają. Widzisz przecież, że nie mogę już sprostać zadaniu. Leżę tu od tygodni chory, a sklep marnuje się, zdany na łaskę losu. Czy nie było jakieś poczty z domu?

Zaczynam żałować całej tej imprezy. Trudno to nazwać szczęśliwym pomysłem, żeśmy, uwiedzeni szumną reklamą, wysłali tu ojca. Cofnięty czas... w samej rzeczy pięknie to brzmi, ale czymże okazuje się w istocie? Czy dostaje się tu pełnowartościowy, rzetelny czas, czas niejako ze świeżego postawu odwinęty, pachnący nowością i farbą? Wprost przeciwnie. Jest to do cna zużyty, znoszony przez ludzi czas, czas przetarty i dziurawy w wielu miejscach, przeźroczystry jak sito.

Nic dziwnego, toż jest to czas niejako zwymiotowany — proszę mnie dobrze zrozumieć — czas z drugiej ręki. Pożal się, Boże!...

Przy tym cała ta wysoce niewłaściwa manipulacja z czasem. Te zdrożne konszachty, zakradanie się od tyłu w jego mechanizm, ryzykowne paluszkowanie koło jego drażliwych tajemnic! Niekiedy chciałoby się uderzyć w stół i zawołać na całe gardło: — Dość tego, waram od czasu, czas jest nietykalny, czasu nie wolno prowokować! Czy nie dość wam przestrzeni? Przestrzeń jest dla człowieka, w przestrzeni możecie bujać do woli, koziołkować, przewracać się, skakać z gwiazdy na gwiazdę. Ale przez miłość boską nie tykać czasu!

Z drugiej strony, czy można żądać ode mnie, żebym sam wypowiedział umowę Doktorowi Gotardowi? Jakakolwiek jest ta nędzna egzystencja ojca, ale widzę go bądź co bądź, jestem z nim razem, mówię z nim... Właściwie winienem Doktorowi Gotardowi nieskończoną wdzięczność.

Kilka razy chciałem się z nim otwarcie rozmówić. Ale Doktor Gotard jest nieuchwytny. — Właśnie poszedł do sali restauracyjnej — oznajmia mi pokojówka. Kieruję się tam, gdy dogania mnie ona, ażeby powiedzieć, że się pomyliła, Dr Gotard jest w sali operacyjnej. Śpieszę na piętro, zastanawiając się, jakie operacje mogą tu być przeprowadzane, wchodzę do przedsiionka i w samej rzeczy każą mi czekać. Dr Gotard wyjdzie za chwilę, właśnie skończył operację, myje ręce. Widzę go niemal, małego, krocącego wielkimi krokami, w rozwianym płaszczu, spieszącego przez szereg sal szpitalnych. Po chwili cóż się okazuje? Doktora Gotarda wcale tu nie było, od lat nie przeprowadzono tu żadnej operacji. Doktor Gotard śpi w swoim pokoju, a jego czarna broda sterczy zadarta w powietrze. Pokój zapełnia się chrapaniem jak kłębami chmur, które rosną, piętrzą się, podnoszą na swym skłębieniu Doktora Gotarda wraz z jego łóżkiem, coraz wyżej i wyżej — wielkie patetyczne wniebowstąpienie na falach chrapania i wzdętej pościeli.

Dzieją się tu jeszcze dziwniejsze rzeczy, rzeczy, które zatajam przed samym sobą, rzeczy fantastyczne wprost przez swą absurdalność. Ile razy wychodzę z pokoju, wydaje mi się, że ktoś szybko oddala się spod drzwi i skręca w boczny korytarz. Albo ktoś idzie przede mną, nie odwracając się. To nie jest pielęgniarka. Wiem, kto to jest! — Mamo! — wołam drżącym ze wzruszenia głosem i matka odwraca twarz i patrzy na mnie przez chwilę z błagalnym uśmiechem. Gdzież jestem? Co się tu dzieje? W jaką matnię wplątałem się?

<sup>39</sup>respiracja (z łac.) — oddychanie. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>czynność (daw.) — aktywność. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

Czas

Ojciec

Lekarz

## V

Nie wiem, czy jest to wpływ późnej pory roku, ale dni poważnieją coraz bardziej w barwie, mroczą się i ciemnieją. Jest tak, jakby patrzyło się na świat przez całkiem czarne okulary.

Cały krajobraz jest jakby dnem ogromnego akwarium — z bladego atramentu. Drzewa, ludzie i domy zlewają się w czarne sylwetki, falujące jak rośliny podwodne na tle tej atramentowej toni.

W pobliżu Sanatorium roi się od czarnych psów. Różnej wielkości i kształtu, przebiegają nisko w zmierzchu wszystkie drogi i ścieżki, wciągnięte w swoje psie sprawy, ciche, pełne napięcia i uwagi.

Przelatują po dwa, po trzy z wyciągniętymi czujnymi szyjami, uszy spiczasto nastawione, z żalnym tonem cichego skomlenia, które się mimo woli wydiera z krtani, sygnalizując najwyższe wzburzenie. Zaprzątnięte swoimi sprawami, pełne pośpiechu, zawsze w drodze, zawsze pochłonięte niezrozumiałym celem — ledwo zwracają uwagę na przechodnia. Czasem tylko łypną ku niemu oczyma w locie i wtedy z tego zeza czarnego i mądrego wyziera wściekłość, hamowana w swych zapędach jedynie brakiem czasu. Czasami nawet, dając folgę swej złości, podbiegają do nogi, z pochyloną głową i ze złowróżbnym warczeniem, ale tylko po to, by w połowie drogi poniechać zamiaru i polecieć dalej w wielkich psich płasach.

Na tę plagę psów nie ma rady, ale po co u licha zarząd Sanatorium trzyma na łańcuchu ogromnego wilczura, straszliwą bestię, prawdziwego wilkołaka o demonicznej wprost dzikości?

Ciarki przechodzą mnie, ile razy mijam jego budę, przy której stoi unieruchomiony na krótkim łańcuchu, z nastroszonym dziko kołnierzem kudłów dookoła głowy, wąsaty, szczeciniasty i brodaty, z maszynerią potężnej paszczy pełnej kłów. Nie szczeka wcale, tylko jego dzika twarz staje się na widok człowieka jeszcze straszniejsza, rysy drętwieją w wyraz bezdennej wściekłości i, podnosząc powoli straszną mordę, zanosi się w cichej konwulsji<sup>42</sup> całkiem niskim żarliwym, z głębi nienawiści wydobytym wyciem, w którym brzmi żalność i rozpacz bezsilności.

Mój ojciec przechodzi z obojętnością obok tej bestii, gdy razem wychodzimy z Sanatorium. Co do mnie, to jestem za każdym razem wstrząśnięty do głębi tą żywiołową manifestacją bezsilnej nienawiści. Przerastam teraz o dwie głowy ojca, który mały i chudy drepce obok mnie swym drobnym starczym kroczkiem.

Już zbliżając się do rynku widzimy ruch niezwykły. Tłumy ludzi przebiegają ulice. Dochodzą nas nieprawdopodobne wieści o wtargnięciu nieprzyjacielskiej armii do miasta.

Wśród powszechnej konsternacji<sup>43</sup> ludzie podają sobie alarmujące i sprzeczne wiadomości. Trudno to pojąć. Wojna nie poprzedzona pociągnięciami dyplomatycznymi? Wojna wśród błęgiego spokoju, nie zakłóconego żadnym konfliktem? Wojna z kim i o co? Informują nas, że inwazja nieprzyjacielskiej armii ośmieliła partię malkontentów w tym mieście, którzy wylegli na ulice z bronią w ręku, terroryzując spokojnych mieszkańców. Ujrzeliśmy w samej rzeczy grupę tych zamachowców, w czarnych cywilnych ubraniach, z białymi rzemieniami skrzyżowanymi na piersi, posuwających się w milczeniu, z pochylonymi karabinami. Tłum cofał się przed nimi, tłoczył się na chodniki, a oni szli posyłając spod cylindrów ironiczne ciemne spojrzenia, w których malowało się poczucie przewagi, błysk złośliwego ubawienia i jakieś porozumiewawcze mruganie, jak gdyby powstrzymywali parsknięcie śmiechu demaskujące całą tę mistyfikację. Niektórzy z nich zostają rozpoznani przez tłum, ale wesoly okrzyk tłumiony jest przez grozę pochylonych luf. Mijają nas, nie zaczepiwszy nikogo. Znowu wszystkie ulice przelewają się trwożnym, ponuro milczącym tłumem. Głuchy gwar płonie nad miastem. Wydaje się, że z daleka słychać turkot artylerii, dudnienie jaszczków<sup>44</sup>. — Muszę przedostać się do sklepu — mówi ojciec bladej, lecz zdeterminowanej. — Nie potrzebujesz mi towarzyszyć; będziesz mi tylko przeszkadzał — dodaje — wracaj do Sanatorium. — Głos tchórzostwa doradza mi być posłusznym. Widzę, jak ojciec wciska się w zwartą ścianę tłumy i tracę go z oczu.

<sup>42</sup>konwulsje — gwałtowne ruchy całego ciała. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>konsternacja — zmieszanie, zakłopotanie, zagubienie. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>jaszczyk a. jaszcz — wóz przystosowany do transportu amunicji artyleryjskiej. [przypis edytorski]

Bocznymi uliczkami przekradam się w pośpiechu w górę miasta. Zdaję sobie sprawę, że na tych stromych drogach uda mi się obejść w półkolu śródmieście zamknięte natłokiem ludzkim.

Tam, w górnej części miasta, tłum był rzadszy, wreszcie znikł zupełnie. Szedłem spokojnie pustymi ulicami do parku miejskiego. Palily się tam latarnie ciemnym, niebieskawym płomykiem, jak żałobne asfodele<sup>45</sup>. Każda obtańczona była rojem chrabąszczy, ciężkich jak kule, niesionych ukośnym, bocznym lotem wibrujących skrzydeł. Niektóre opadły gramoliły się na piasku niedołącznie, z wypukłym grzbietem, zgarbione twardeymi pokrywami, pod które próbowały złożyć rozpostarte delikatne błony skrzydeł. Po trawnikach i ścieżkach spacerowali przechodnie, pogrążeni w beztroskich rozmowach. Ostatnie drzewa zwieszają się nad podwórzami domów leżących nisko w dole i przypartych do muru parkowego. Wędrowałem wzdłuż tego muru, który od mojej strony sięga zaledwie do piersi, ale na zewnątrz opada ku poziomowi podwórzy wysokimi na piętro szkarpami. W pewnym miejscu podchodziła spomiędzy podwórzy rampa z ubitej ziemi, aż do wysokości muru. Przekroczyłem z łatwością barierę i wąską tą groblą przecisnąłem się pomiędzy stłoczonymi zabudowaniami domów na ulicę. Moje obliczenia, wsparte znakomitą intuicją przestrzenną, były trafne. Znajdowałem się niemal na wprost budynku sanatoryjnego, którego oficyna bieleje niewyraźnie w czarnej oprawie drzew. Wchodzę jak zwykle od tyłu przez podwórze, przez bramę w żelaznym ogrodzeniu i widzę już z daleka psa na jego posterunku. Jak zawsze przechodzi mnie dreszcz awersji<sup>46</sup> na ten widok. Chcę go minąć czym prędzej, by nie słyszeć tego, z głębi serca dobytego jęku nienawiści, gdy ku memu przerażeniu, nie wierząc oczom własnym, widzę, jak oddala się w podskokach od budy, nie uwiązany, biegnie dookoła podwórza z głuchym, jakby z beczki dobytym szczekaniem, chcąc odciąć mi odwrót.

Zdrętwiały ze zgrozy cofam się w przeciwny, najdalszy kąt podwórza i instynktownie szukając jakiegos ukrycia, chronię się do małej altanki tam stojącej, z całym przeświadczeniem daremności moich wysiłków. Kudłata bestia zbliża się w podskokach i oto morda jego jest już u wejścia altanki i zamyka mnie w pułapce. Ledwo żywy ze strachu, miarkuję<sup>47</sup>, że rozwinął on całą długość łańcucha, który włókł za sobą przez podwórze, i że sama altanka jest już poza zasięgiem jego zębów. Zmaltretowany, zmiażdżony zgrozą, ledwo odczuwam jakąś ulgę. Ślaniając się na nogach, bliski zemdlenia, podnoszę oczy. Nigdy nie widziałem go z tak bliska i dopiero teraz opadają mi łuski z oczu. Jak wielka jest moc uprzedzenia! Jak potężna jest sugestia strachu! Co za zaślepienie! Toż to był człowiek. Człowiek na łańcuchu, którego w upraszczającym metaforycznym, ryczałtowanym skrócie brałem niepojętym sposobem za psa. Proszę mnie źle nie rozumieć. Był to pies — niezawodnie, ale w postaci ludzkiej. Jakość psia jest jakością wewnętrzną i może się manifestować równie dobrze w postaci ludzkiej jak zwierzęcej. Ten, który stał przede mną w otworze altany, z paszczą niejako na wywrót odwiniętą, ze wszystkimi zębami wyszczerzonymi w strasznym warczeniu — był mężczyzną średniego wzrostu, z czarnym zarostem. Twarz żółta, koścista, oczy czarne, złe i nieszczęśliwe. Sądząc z czarnego ubrania, z cywilizowanej formy brody — można by go wziąć za inteligenta, za uczonego. Mógłby to być starszy nieudany brat Doktora Gotarda. Ale ten pierwszy pozór mylił. Jego wielkie, powalane klejem ręce, dwie brutalne i cyniczne bruzdy dokoła nosa, gubiące się w brodzie, poziome ordynarne zmarszczki na niskim czole rozwiewały prędko to pierwsze złudzenie. Był to raczej introligator, krzykacz, mówca wiecowy i partyjnik — człowiek gwałtowny, o ciemnych wybuchowych namiętnościach. I tam właśnie, w tych czeluściach pasji, w tym konwulsyjnym zjeżeniu wszystkich fibrów<sup>48</sup>, w tej furii szaleńczej, wściekle oszczekującej koniec skierowanego doń kija — był on stuprocentowym psem.

Jeślibym przelał przez tylną barierę altanki — myślę sobie — uszedłbym w zupełności z zasięgu jego wściekłości i mógłbym boczną ścieżką dojść do bramy Sanatorium. Już przerzucam nogi przez poręcz, gdy nagle zatrzymuję się w połowie ruchu. Czuję, że byłoby zbyt okrutne odejść po prostu i zostawić go tak z jego bezradną wściekło-

Pies, Kondycja ludzka

<sup>45</sup> *asfodel* — śródziemnomorska roślina ozdobna. [przypis edytorski]

<sup>46</sup> *awersja* — niechęć. [przypis edytorski]

<sup>47</sup> *miarkować* (daw.) — zauważać, orientować się. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *fibry* (z łac.) — włókna. [przypis edytorski]



ścią wyprowadzoną ze wszystkich granic. Wyobrażam sobie jego straszne rozczarowanie, ból niehumaniczny, gdyby mnie widział uchodzącego z pułapki, oddalającego się raz na zawsze. Zostaję. Podchodzę doń i mówię naturalnym, spokojnym głosem: — Niech się pan uspokoi, ja pana odczepię.

Na to twarz jego, posiekana drgawkami, wzbudzona wibracją warczenia, całkuje się, wygląda i z głębi wynurza się oblicze niemal zupełnie ludzkie. Podchodzę bez obawy i odczepiam sprzączkę na jego karku. Idziemy teraz obok siebie. Introligator jest w porządnym czarnym ubraniu, ale bosy. Próbuję nawiązać z nim rozmowę, ale z jego ust wychodzi tylko niezrozumiały bełkot. Tylko w oczach, w tych czarnych wymownych oczach czytam dziki entuzjazm przywiązania, sympatii, który mnie zdejmuję grozą. Chwilami potyka się o kamień, o grudę ziemi i wtedy skutek wstrząśnięcia twarz jego natychmiast łamie się, rozpada, przerażenie wynurza się do połowy, gotowe do skoku, a tuż za nim wściekłość, czekająca tylko na moment, ażeby znów zamienić tę twarz w kłębowisko syczących żmij. Przywołuję go wtedy do porządku szorstkim koleżeńskim upomnieniem. Klepię go nawet po plecach. I czasem próbuje się na jego twarzy uformować zdziwiony, podejrzliwy, nie dowierający sobie uśmiech. Ach! jak mi ciąży ta straszna przyjaźń. Jak mnie przeraża ta niesamowita sympatia. Jak pozbyć się tego człowieka kroczącego obok mnie i uwisłego okiem, całą żarliwością swej psiej duszy na mojej twarzy. Nie wolno mi jednak zdradzić mego zniecierpliwienia. Wyciągam portfel i mówię rzeczowym tonem: — Potrzeba wam pewnie pieniędzy, mogę wam z przyjemnością pożyczyć — ale na ten widok twarz jego nabiera tak strasznej dzikości, że chowam czym prędzej pugilares<sup>49</sup>. I jeszcze czas długi nie może się uspokoić i opanować rysów, które wciąż wykrzywia konwulsja wycia. Nie, tego dłużej nie zniosę. Wszystko raczej niż to. Sprawy już i tak powikłały się, splątały beznadziejnie. Nad miastem widzę lunę pożaru. Ojciec gdzieś w ogniu rewolucji w płonąącym sklepie, Doktor Gotard nieosiągalny, i w dodatku niepojęte pojawienie się matki, *incognito*<sup>50</sup>, w jakiejś tajemnej misji! Są to ogniwa jakiejś wielkiej, niezrozumiałej intrygi zaciskającej się dookoła mej osoby. Uciekać, uciekać stąd. Gdziekolwiek. Zrzucić z siebie tę okropną przyjaźń, tego cuchnącego psem introligatora, który mnie nie spuszcza z oka. Stoimy przed bramą Sanatorium. — Proszę pana do mego pokoju — mówię z uprzejmym gestem. Cywilizowane ruchy fascynują go, usypiają jego dzikość. Puszczam go przed sobą do pokoju. Sadzam go na krześle.

— Pójdę do restauracji przynieść koniaku — mówię.

Na to zrywa się z przerażeniem, chcąc mi towarzyszyć. Uspokajam jego popłoch z łagodną stanowczością.

— Pan będzie siedział, pan będzie czekał spokojnie — mówię doń głębokim, wibrującym głosem, na którego dnie brzmi ukrywany strach. Siada z niepewnym uśmiechem.

Wychodzę i idę powoli korytarzem, potem schodami na dół, korytarzem do wyjścia, przekraczam bramę, przemierzam podwórze, zatrząskuję za sobą żelazną furtkę i teraz zaczynam biec bez tchu, z bijącym sercem, z walącymi skroniami, ciemną aleją wiodącą do dworca kolejowego.

W głowie piętrzą mi się obrazy, jeden straszliwszy od drugiego. Niecierpliwość potwora, jego przerażenie, rozpacz, gdy pozna, że jest oszukany. Powrót furii, recydywa wściekłości wybuchająca z niepoohamowaną siłą. Powrót mego ojca do Sanatorium, jego nic nie przeczuwające pukanie do drzwi i niespodziane twarzą w twarz ze straszliwą bestią.

Szczęście, że ojciec już w gruncie rzeczy nie żyje, że go już to właściwie nie dosięga — myślę z ulgą i widzę już przed sobą czarny ciąg wagonów kolejowych stojących u wyjazdu. Siadam do jednego z nich i pociąg jakby czekał na to, rusza z miejsca powoli, bez gwizdu.

W oknie jeszcze raz przesuwają się i obraca powoli ta ogromna misa horyzontu, nalana ciemnymi szumiącymi lasami, wśród których bieleją mury Sanatorium. Żegnaj, ojcze, żegnaj, miasto, którego już nie zobaczę.

Od tego czasu jadę, jadę wciąż, zadomowiłem się niejako na kolei i toleruję mnie tam, wałęsającego się z wagonu do wagonu. Ogromne jak pokoje wozy pełne są śmiecia i słomy, przeciągi przewiercają je na wskroś w szare bezbarwne dni.

Ucieczka

Żebrak

<sup>49</sup>*pugilares* (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*incognito* — nie ujawniając tożsamości. [przypis edytorski]

Moje ubranie podarło się, postrzępiło. Podarowano mi znoszony mundur kolejarza. Twarz mam obwiązaną brudną szmatą wskutek spuchniętego policzka. Siedzę w słomie i drzemię, a gdy jestem głodny, staję w korytarzu przed przedziałami drugiej klasy i śpię-wam. I wrzucają mi drobne monety do mojej konduktorskiej czapki, do czarnej czapki kolejarza, z obdartym daszkiem.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/schulz-sanatorium-pod-klepsydra-sanatorium-pod-klepsydra>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Schulz, Sklepy cynamonowe; Sanatorium Pod Klepsydrą, Biblioteka Klasyki, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Marta Niedziałkowska, Paweł Kozioł.

Okładka na podstawie: Brockhaus and Efron Encyclopedic Dictionary--closeup, Double--M@Flickr, CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).